

MOJE GORLICKIE LATA

1940 – 1944

WSPOMNIENIA

Jest rok 1939, Niemcy napadają na Polskę, zaczyna się najcięższy czas w historii kraju czas, w którym terror i tragedie, dzieło okupanta, przekraczały wszelkie wyobrażenia.

Mieszkamy w Poznaniu, ulica Słowackiego 38 m 5. My, czyli rodzina Rafińskich – Maria Rafińska z d. Witkowska, Roman Rafiński (lekarz) i my dwaj synowie Jacek i ja oraz rodzice naszej mamy Stefania z d. Kubacka – Witkowska, siostra mojej mamy Zofia Witkowska i dziadek Antoni Witkowski.

Może to było parę miesięcy przed wysiedleniem, gdy zachorował mój dwuletni brat na tężyczkę, której efektem był lewostronny paraliż z lewostronnym niedowładem. Uratowali go z wielkim trudem i wielkim poświęceniem mój Ojciec i mój stryj Teodor.

Powodów, dla których nas wysiedlono nikt nie znał, byliśmy na liście do wysyłki i to wszystko. Gdyby nie przypadek, żyłbym w nieświadomości do dzisiaj, ale tak się złożyło, że rozmawiając z autorką bardzo ważnej książki Panią prof. Marią Rutowską o obozie przesiedleńczym w Poznaniu na Główniej, zapytałem o powody naszego wysiedlenia.

Wtedy zapytała mnie, czy był w rodzinie ktoś, kto działał na rzecz odradzającej się Polski. W odpowiedzi na to pytanie, wspomniałem mego dziadka Antoniego Witkowskiego, który brał czynny udział w Powstaniu Wielkopolskim, będąc dowódcą II Kompanii Powstańczej. Zaraz po zwycięstwie Powstania, wyjechał na Śląsk, by wziąć udział w pierwszym i drugim Powstaniu Śląskim.

W odpowiedzi, Pani profesor nie miała żadnej wątpliwości, że udział w patriotycznych zrywach, były głównym powodem naszego wysiedlenia.

Gdyby dzisiaj ktoś chciał mnie zapytać o to, jakie są moje związki z Gorlicami, to wtedy odpowiem jemu wprost, że są one wyjątkowe i że po upływie nawet kilkudziesięciu lat, nie opuściły mnie nawet na chwilę. Wszystko, co się wiąże z tym miastem, łączy czas okupacji. Początek naszej historii zaczął się w chwili, kiedy to niemieckie wojska, w dniu 01 września 1939 roku wdwały się przemocą na tereny polskie i wszystko ma swój koniec.

W dwa miesiące po zajęciu Wielkopolski, 26 października 1939 roku, Niemcy tworzą Okręg Rzeszy Poznań, czyli Reichgau Posen, który to w dniu 29 stycznia 1940 roku, zostaje przemianowany na Reichgau Wartheland, czyli na Kraj Warty.

W tym czasie ludność poznańskiego liczyła około 400 tysięcy mieszkańców. Niemcy, które chciały mieć nasze ziemie wyłącznie dla siebie, rozpoczęły zakrojoną na bardzo dużą skalę, akcję wysiedlenia. Dotyczyła ona ogromnej części ludności Wielkopolski, ale żeby uzmysłowić ich prawdziwą skalę, muszę posłużyć się kilkoma ważnymi danymi.

Od 1 do 17 grudnia 1939 roku, tylko w tym jednym przypadku wywieziono z poznańskiego 16418 mieszkańców tych ziem, zaś od 01 do 10 lutego 1940 roku 16568 osób. Władze niemieckie od połowy grudnia 1939 roku, do połowy marca 1941 roku, wysiedliły z terenów włączonych do III Rzeszy ponad 280,000 osób, gdzie ogólny stan ludności tych ziem liczył od 365000 do 400000 osób. (Cytowane tutaj dane pochodzą z pracy p. prof. Marii Rutowskiej „Lager Główna”). Warto tu wspomnieć, że z terenów województwa poznańskiego, z 27 miejscowości od dnia 21 stycznia do 15 marca 1941 roku wywieziono 159.045 z poznańskiego, wśród których byli jeszcze Żydzi i Cyganie.

Nie bez powodu przytaczam te bardzo dobrze udokumentowane fakty, ponieważ chcę moim czytelnikom uzmysłowić, jak bardzo bolesne było żegnanie się z ojcowizną i jak bardzo

to przeżywali wysiedleńcy, których niemiecki okupant wyrzuca ich z własnej ziemi, że widzą ją już po raz ostatni. To były dla nich bardzo trudne, pełne nostalgii rozstania.

Wśród owych wysiedleńców znalazły się nasze dwie rodziny, o czym postaram się w paru słowach powiedzieć.

Aby rozpocząć swoją opowieść, muszę cofnąć się do dni, przed wkroczeniem wojsk hitlerowskich Niemiec do Polski. Od pewnego czasu było wiadomo, że się coś szykuje, do opinii publicznej zaczęły napływać niepokojące informacje. Zaczęła się pełna mobilizacja, wojsko rekwirowało samochody, motocykle, poborowi i rezerwiści meldowali się w wyznaczonych jednostkach.

Któregoś sierpnia 1939 roku w naszym mieszkaniu zjawiają się dwaj wojskowi, o czymś rozmawiają z moim ojcem, dostają od niego jakieś dokumenty, po czym wychodzą. Tato bierze mnie na rękę, idziemy do frontowego pokoju. Wychodzimy na balkon, aby mógł ostatni raz popatrzeć na nasz samochód. Był to nowy, piękny „Polski Fiat 508”, czarny lakier, siedzenia z czerwonej skóry, żółte felgi i niklowane kapsle ze znakiem firmowym. Polskie cudo tamtych lat.

Jeszcze dzisiaj widzę, jak znika na horyzoncie, było nam jego żal, po prostu żal. Jak mi po latach opowiadała moja mama, na widok odjeżdżającego samochodu, wpadłem w prawdziwą rozpacz. No cóż, samochód poszedł na swoją wojnę.

Mamy już Grudzień 1939 roku, lada dzień nasza mama będzie rodzić. Tuż przed Gwiazdką staje w drzwiach wejściowych do naszego mieszkania, trzech umundurowanych Niemców. Mój chory brat i ja, jesteśmy po opieką mamy, ciotka Zofia, babcia Stefcia siedzą w swoim pokoju, zaś ojciec i dziadek, rozmawiają z dowódcą patrolu. Obaj wiedzą, że przyszedł po nas. W pewnym momencie do rozmowy włącza się nasz dokwaterowany lokator, niemiecki inż. leśnik p. Zeilig. Rozmawia z dowódcą z patrolu. Po kilku

minutach rozmowa kończy się i niemieccy żandarmi wychodzą. Dwa dni później, dostajemy powiadomienie z informacją, że naszą wywózkę przesunięto na inny termin. Pozostajemy w naszym mieszkaniu. Mamy 11 stycznia 1940 roku, na świat przychodzi nasza siostra Teresa. Mija styczeń, jest koniec lutego 1940 roku, kiedy wieczorem do mieszkania wpada niemiecki żołnierz.

Daje nam pół godziny, na zabranie ze sobą najpotrzebniejszych rzeczy. Czas się kończy, krótka rozmowa mego ojca z „naszym” leśnikiem. Jesteśmy na klatce schodowej, za nami zamykają się drzwi. Pokonujemy dwa piętra i idziemy prosto, do oczekującego na ulicy autobusu. Wszystkie miejsca są zajęte, więc można jechać. Ruszamy. Wiozą nas do obozu przesiedleńczego położonego w dzielnicy Poznań - Główna. Lokują nas w ogromnej hali, gnieździmy się w bardzo trudnych warunkach, żyjemy w ciasnocie jedna rodzina, obok drugiej. Między obozowiczami bieżą wąskie korytarzyki, po których można się poruszać. Wszyscy śpimy na wiązkach słomy, położonych na betonowej podłodze. Zmęczeni i wyczerpani czekamy w beznadziei chwili, kiedy zacznie się nasza podróż w nieznane.

Był 09 marzec 1940 roku, wszyscy czekamy na ulokowanie nas w wyznaczonych wagonach. Do Generalnej Guberni jedzie nas 1009 osób. Skład pociągu, to są 23 wagony, w tym było tylko kilka pasażerskich, reszta była przeznaczona do transportu bydła. W każdym z nich jest około 48 osób. Następuje ostatnia kontrola. Sprawdzają, czy wagony mają komplet wysiedleńców, sprawdzają czy ktoś nie został, i czy wagony są zaplombowane.

Nad całym transportem poza wojskowymi czuwali jeszcze kierownik składu niejaki Borski oraz lekarz nazwiskiem Nyka. Jeszcze przed wyjściem na rampę, władze obozu oznajmiają, że dla tej konkretnej grupy oznaczonej numerem 25, miejscem przeznaczenia są

Gorlice w Generalnej Guberni. Jest sygnał. Powoli zbliża się czas odjazdu.

Jest godzina 14,15, pociąg zaczyna swój bieg. Rozpoczęła się nasza piekielna podróż, na zewnątrz panują kilkunastostopniowe mrozy, które nocą spadają do minus 25 – 27 stopni. W każdym wagonie jedzie prawie pół setki ludzi, na podłodze leży słoma, nie ma ani jednej ławki, nie ma nawet namiastki ubikacji. Stłoczeni, tracimy mniej ciepła, potrzeby fizjologiczne załatwia się na oczach współtowarzyszy niedoli. Nie ma wody, czerpać ją można dopiero wtedy, gdy trzeba uzupełnić w kotle parowozu wodę, ale żeby pójść po wodę trzeba czekać, jak któryś z niemieckich konwojentów otworzy drzwi wagonu. Po wodę mogła iść tylko jedna osoba, z jednej rodziny i to pod strażą. Woda była okropna, do wiadra zlewano jedynie wodę z kotła lokomotywy, która cuchnęła parowozowym dymem, palącym się węglem, ale była ciepła. Taką pito i taką się myło. Używano jej do mycia dzieci i myto nią niemowlęta.

Tłok nie pozwalał na rozprostowanie kości, wszystko bolało niemiłosiernie, do jedzenia było to, co przypadało na wagon, trochę gliniastego chleba i coś do smarowania na osobę, ale co to dokładnie było, tego to już zaiste nie pamiętam. Pewnikiem było to, że wszystko było spięte siarczystym mrozem, że podróż ślimaczyła się niemiłosiernie. Przez cały czas towarzyszy nam stukot kół, pociąg zwalnia bieg, po długiej podróży powoli dojeżdżamy do Gorlic, do kresu potwornej podróży. Pociąg jest na dworcu, staje na jedynym peronie. Po paru chwilach słychać, jak strażnicy otwierają kolejno wagonowe wrota. Na dworze panuje przenikliwy ziąb, ludzie wysypują się z wagonów, jak kartofle z worka, żołdacy pilnują porządku. Powoli, grupkami opuszczamy peron, wychodzimy na stronę miasta. Przed dworcem stoją jakieś wozy z zaprzęgiem, na prowizorycznych kozłach siedzą furmani, czekają na nas.

Ktoś wywołuje nas po nazwisku. Jest woźnica. Lokujemy się na wozie. Ruszamy, jedziemy bardzo powoli w kierunku ulicy Stróżowskiej, zatrzymujemy się przed domem pań Wygrzywalskich, jedynym domem gojów na tej biednej ulicy. Zajmujemy dwa pokoje po prawej stronie korytarza, patrząc z zewnątrz na budynek, w środku ogarnia nas przyjazne ciepło.

Ulica Stróżowska z pozoru bardzo biedna ulica, dla mnie samego była czymś bardzo ważnym i to z kilku powodów, żyła jakby innym czasem, ale mimo tego miała ona w sobie coś, czego nie było widać, a co tkwiło w jej wnętrzu, miała jakiś dziwny, ale naturalny, smutny urok. Była w swej biedzie, bardzo malarska.

Może tak ją odbierałem, dlatego że była to niewielka enklawa, uboga część głównej ulicy z niską zabudową, z biednymi żydowskimi chałupami i co było jej istotą, biła ona swoją naturalną siłą. Ta skromna, acz biedna ulica, tkwi do teraz w mej duszy, siedzi w niej obraz ślicznej, paroletniej Żydóweczki, z którą siadaliśmy na progu jej domu i wielkim szacunkiem małych ludzi, wertowaliśmy strony starego talmudu zdobionego, pięknymi ilustracjami. Były to sztychy miedziorytnicze z opisami w języku hebrajskim tak zrobione, że dzisiaj w dobie technologii, nie wywarłyby na młodym umyśle tak niesamowitego wrażenia jak wtedy, kiedy patrzyłem na nie oczami wrażliwego dziecka. Lewa pierzeja Stróżowskiej miała może sześć, a może i siedem biednych domów z tym, że ten jeden był najbardziej charakterystyczny i wyjątkowy. Stał on na samym końcu ulicy, przytulony do ziemi, trochę inny, niż wszystkie. Mieszkał w nim stolarz Żyd z żoną z dwoma synami i córką. To było ważne dla mnie miejsce, tam istniał zupełnie inny świat. Za każdym razem, kiedy tam zachodziłem to całym sobą przenosiłem się do zupełnie innego świata. Byłem w świecie przesiąkniętym cudownym zapachem heblowanego drewna, wśród mebli, zabawek i stolarskiego kleju. Świat widziany

oczami dziecka jest znacznie piękniejszy niż ten, który na co dzień widzą ludzie dorośli. Tego nie zrozumie nikt, kto był i jest obojętny na zjawiska w przyrodzie, na rzeczy małe, ale o wielkiej sile działania. Wszystko zaczyna się od rzeczy drobnych, z pozoru niepozornych, dlatego że wszystko musi mieć własny początek. Z rozrzewnieniem wspominam tamten czas, kiedy mogłem przyglądać się, jak ze zwykłego, niepozornego klocka drewna dzień za dniem, w rękach stolarza powstaje piękna, niezwykła w swej urodzie zabawka. Uwielbiałem tamte chwile.

Być może miało to taką siłę, że po przeszło dwudziestu latach skończyłem studia artystyczne ze specjalnością mebla. Czy to było pokłosie wędrówek do stolarni żydowskiego mistrza? Chyba tak, bo kiedy jestem w jakiejś stolarni, zawsze wychodzę pełen wrażeń.

Ta ulica przeżywała bardzo tragiczne chwile, na tyle niewyobrażalne, że jeszcze dzisiaj pukają do ludzkiego sumienia. W jakiś czas po zamieszkaniu w domu p.p. Wygrzywalskich, doszło w tej rodzinie do ogromnej tragedii. Niemcy zaarrestowali, a potem rozstrzelali pana Benisza i jego dwóch synów. W całym domu zrobiło się przygnębiająco cicho, dobiegał do nas przejmujący, cichy płacz.

Nad tą ulicą wisiało jakieś, przeklęte fatum. Tragedia szła za tragedią, o czym opowiem za chwilę.

Naprzeciwko naszego domu, w którym mieszkaliśmy stała niewielka chatyna, z różową ścianą frontową, miała niewielkie okna, przed chatą studnia, niemy świadek wielkiej tragedii. Było już ciepło, słońce znaczyło swoją obecność. Pewnego dnia pod ten skromny dom, zajeżdża trójkołowy motocykl z tzw. koszem. Zsiadają niego trzej esesmanami, wszyscy w długich, wojskowych płaszczach. Wchodzą do środka, nagle z tego domku dobiega do nas przeraźliwy krzyk kobiety. Stałem przy oknie, gdy dziadek natychmiast zabiera mnie w głąb pokoju. Cała

rodzina milczy, mała siostra śpi. Słysząc przez uchylone okno błagalne prośby kobiety. Chwila ponurej ciszy, potem pada strzał. Nie rozumiem tego, co się stało, bo nie mogłem. Po chwili z chaty wychodzą trzej gestapowcy, jeden z nich z całym spokojem zapina kaburę. Siadają na motocykl i odjeżdżają.

Pogrzeby stały się codziennością, nie było dnia, aby Stróżowską nie szły w stronę kirkutu, żydowskie pogrzeby. Widziałem otwarte, płaskie trumny ze zwłokami, widziałem idących za trumnami kilku żałobników, wszyscy zwolna, krok po kroku zdążali na miejsce pochówku. Smutne to były momenty, ale nawet kilkuletni dzieciak, właśnie taki jak ja, musiał nauczyć się z tym żyć mimo tego, że z takich okoliczności życia, nic nie rozumiał. Powoli kończy się czas mieszkania na Stróżowskiej, lada dzień będzie przeprowadzka, następują przygotowania.

Mniej więcej w okolicach wiosny zaczyna się przeprowadzka na ulicę Główną pod nr 14. (dziś 3-go Maja 16) Przydzielono nam mieszkanie na drugim piętrze, wejście po lewej stronie. Cała nasza piątka zajmowała pokój w głębi korytarza, po lewej stronie, który był naszą sypialnią. Dziadkowie z cicią Zosią zajmują trzeci z pokoi. Okna naszej sypialni wychodzą na podwórze, jest tam ogród, jest też płot z szeroką bramą, przez którą wychodziło się, na dzisiejszą ulicę W.Wróblewskiego. Na podwórzu tuż pod płotem graniczącym z drugą posesją stał dziwny wóz w żółtym kolorze, ozdobiony kolorowym ornamentem, który przypominał bardziej wóz cyrkowy do przewozu zwierząt, niż wóz sypialny.

Jako, że pani Siokała była bardzo zaradną niewiastą, zrobiła z tego wozu, bardzo przydatny, duży kurnik. Poza kurami miała tam swoje miejsce biała koza, a że nasza sąsiadka wiedziała, jak sobie ułatwić życie, wprowadzała ją kuchennymi schodami, prosto do kuchni, by ją po prostu wydoić. Bywało również i tak, że kiedy zjawiałem się u nich,

aby trochę pouczyć się z Niusią, ale nie bardzo nam to wychodziło, ponieważ jej mama, dawała nam do rąk litrowe butelki pełne koziej śmietanki, a my jak te małe maszynki potrząsaliśmy nimi tak długo, aż padła komenda stop. Majtaliśmy butelkami tak długo, aż zaczęły pojawić się w butelce, nieduże grudki żółtej masy. Potem pani Siokałowa wytrząsała je na sito i zawijała w biały kawałek płótna i tak raz za razem formowała małe osełki prawdziwego masła.

Po wizycie u Siokałów, wracam do naszego mieszkania.

Jesteśmy w mieszkaniu, w korytarzu. Po jego prawej stronie był duży pokój, nasza wspólna jadalnia. Po wejściu do tego pokoju, po jego lewej stronie, niedaleko drzwi, był duży piec kaflowy w kolorze miodu. W jego drzwiczkach zamontowany, jednofajerkowy gnom. To niby z pozoru bardzo proste urządzenie, było w naszych warunkach niezwykle przydatne. Można było na nim gotować, ogrzewać pomieszczenie i co ważne, można było spalać każdy opał, spalało się węgiel, kawałki drewna, czy trociny, natomiast w głębi tego pokoju jest wyjście na balkon, z którego mieliśmy bardzo dobry widok, na całą ulicę, od prawa, do lewa. Balkon jak to balkon mógł być wszystkim, ale dla nas był czymś znacznie ważniejszym. Nie był on zwykłym kawałkiem betonu wystającym z elewacji, był świadkiem naprawdę makabrycznych wydarzeń. Okna innych domów, żyły tak jak my, tymi samymi wydarzeniami wojny, które przetoczyły się przez naszą ulicę. W żyłach miasta narasta napięcie. Wiadomo, że Niemcy przystąpili już do ostatecznej likwidacji getto.

Tego dnia było bardzo ciepło, była niedziela, rok 1943. Siedzieliśmy wtedy przy stole wszyscy razem, dziadkowie z ciotką Zochą, jak na nią pieszczotliwie mówił dziadek, moi rodzice i my małe dzieciaki. Byliśmy już dobrze po śniadaniu, kiedy około godziny jedenastej, przez otwarte drzwi balkonowe wdziera się niemiecka komenda, słysząc jakiś dziwny

szum, przypominający odgłos, jakby ktoś szurał butami po bruku.

Chcąc zobaczyć, co się dzieje, na balkon wychodzi mój ojciec, potem dziadek, babka z ciotką, a my z mamą, siostrą i bratem zostajemy w pokoju. Moja ciekawość jest silniejsza ode mnie, muszę koniecznie wyjść na balkon. Nikt nie zwraca na mnie uwagi, wykorzystuję ten moment i już jestem obok taty. To, co wówczas zobaczyłem, przeraziło mnie, nie wiedziałem, co się stało, to było straszne. Obraz był przerażający, to było poniewieranie ludzkiej godności. Słyszane szuranie dobiegające z dołu ulicy Głównej, staje się coraz wyraźniejsze. Od strony ulicy Bieckiej, środkiem jezdni idą obstawieni przez niemieckich konwojentów, polscy jeńcy. Mundury w strzępach, jeńcy brudni i głodni, spragnieni wody, wloką się powoli w kierunku Rynku, niemieccy konwojenci idą po obu stronach kolumny, wrzaskiem, komendami i wyzwiskami popędzają, jak pastuch bydło, kolumnę nieszczęśników.

Ten widok wstrząsnął moim ojcem. Doskonale wiedział, że musi coś zrobić, że trzeba tym ludziom jakoś pomóc. Ciotka na prośbę dziadka przyniosła z pokoju kromki chleba i razem z moim ojcem zaczęli rzucać je jeńcom. Nic nie zapowiadało, że coś lub ktoś może temu przeszkodzić. Nagle, na wysokości naszego domu zatrzymuje się niemiecki oficer. Przez dłuższą chwilę przygląda się memu ojcu, potem nagle szybkim ruchem wyjmując z kabury pistolet, lufę skierowuje w stronę taty i wściekły na niego wrzeszczy. Jeżeli ktokolwiek zrzuci z naszego balkonu choćby kawałek chleba, obojętnie, kto by to nie był, ten dostanie kulę w łeb.

Dla mnie, jako sześciolatniego dzieciaka po przejściach, które miały miejsce na Stróżowskiej, była to kolejna lekcja o tym, czym są potwory wojny. To nie był koniec przeżyć, których miejscem była ulica Główna. Naprzeciwko „naszego” domu była niewielka knajpa. Codziennie w drzwiach wejściowych

stał opasty, ubrany na biało mężczyzna. Potrafił tak stać i czekać stojąc w drzwiach na klienta godzinami, aż któregoś dnia zauważono, że lokal jest zamknięty na cztery spusty, że nikogo tam nie ma. Następnego dnia sytuacja powtarza się. Po kilku dniach zaczęto szeptać, że ten człowiek nie żyje. Mówiło się, że to była egzekucja za zdradę i donosicielstwo i współpracę z Niemcami. Wszystko wydarzyło się w okolicach lata, jeszcze przed naszym wyjazdem do Krościenka, dlatego rok 1943 mógł być właściwym czasem, kiedy to wszystko miało miejsce.

Nie wiem, dlaczego tak się działo, może ta ulica zrzędzeniem losu, miała przeżyć kolejną, bodaj czy nie najsmutniejszą swoją chwilę. Widziałem to na własne oczy, do czego może być zdolny i jak podły może być człowiek, a miałem przecież tylko kilka lat. Może też dlatego, z uwagi na swój specyficzny klimat, wryła mi się tak głęboko w pamięć. Cały czas wisiało nad nią, jakieś nieszczęsne fatum. Miasto powoli smętnieje i cichnie. Niemcy rozpoczynają ostatnią operację likwidacji getta. Ulica Główna staje się głównym, ale niemym świadkiem ludzkiego nieszczęścia.

Jest blisko popołudnia, z ulicy dobiegają jakieś dziwne odgłosy, słychać niemieckie komendy. Jesteśmy przy stole, właśnie kończyliśmy obiad. Wychodzimy na balkon, na ulicznym bruku rozgrywa się ludzki dramat.

Ulicą Główną niemieccy oprawcy pędzą w kierunku dworca tłum żydowskich kobiet, mężczyzn i dzieci. Widok był przerażający. Tego dnia było bardzo ciepło. Mieli na sobie tylko to, co nosili na swych biednych grzbietach. Idą ledwo trzymający się na nogach starcy, niektórzy z małymi dziećmi, idą kobiety stare, młode, kobiety w ciąży, idą mężczyźni. Idą w kolumnie potykając się o wystające z bruku kostki, słychać przeraźliwy płacz kobiet i dzieci, idą do pociągu śmierci. Cały czas słychać niemieckie wrzaski. Po obu stronach kolumny nieszczęśników, w stałym

pogotowiu są niemieccy oprawcy, w czarnych mundurach. Krótkie bluzy, spodnie bryczesy, buty z cholewami, pistolety.

Niemcy nie mają litości, gnają ludzi jak bydło. Idą kobiety stare, młode, są ciężarne oprawcy nie mają dla nich litości biją je sztchetami, biją kijami po brzuchu, biją kolbami karabinów, a nad całą ulicą unosił się jeden jęk tak przeraźliwy, że skóra cierpła na grzbiecie. Krążyły pogłoski, że ze sztchet, którymi bito kobiety, wystawały gwoździe. Nawet małych dzieci nie oszczędzano, szturchano je, popychano, paraliżowano wrzaskiem. Idą młodzi chłopcy, mężczyźni, starcy.

Jeszcze dzisiaj widzę, jak niemiecka obstawa stale pogania tłum wygnańców, byle szybciej dojść do dworca. Mały chłopczek na swych małych nóżkach nie nadąża za dorosłymi, jego dziadek stara się pomóc małemu wnukowi. Niemieccy konwojenci na to nie pozwalają.

Na starego, zbolełego Żyda spadały, co chwilę ciężkie razy, on ledwo trzymał się na nogach, mimo tego włókł się z przerażenia i z braku już sił. Nie było litości nawet dla małego chłopca, który za zbyt wolny marsz, co rusz dostawał szturchańca. Bił go niemiecki kat, elegant w czarnym mundurze. Tak oto, jako mały dzieciak widziałem to, do czego może być zdolny człowiek, widziałem jak kilku hitlerowców pilnuje kolumnę nieszczęśników, która powoli znika za zakrętem, gnana strachem i biciem na dworzec, do ostatniego w życiu pociągu, do pociągu śmierci. To był marsz z getta, do obozu zagłady, do komór.

W jednym z domów przyległych do naszego, może to był drugi, a może trzeci budynek, mieszkał w jeden z najważniejszych hitlerowców, gorlicki pan życia i śmierci, niejaki Klose typ wyjątkowo obleśny, przesiadujący w czas letni godzinami na tarasie, zawsze w towarzystwie alkoholu. Wychodząc z domu, idąc przez podwórze, otwierając bramę wjazdową znajdujemy się na ulicę Wróblewskiego, potem skręcamy w lewo i patrząc w stronę budynków widzimy

dom, o którym wspomniałem. Ten bandyta nie miał litości nawet dla swojego adiutanta.

Ile razy szedłem dzisiejszą ulicą Wróblewskiego na lekcje do pani Urszuli Hermachowej, albo do ochronki i kiedy dochodziłem do willi stojącej przy końcu tej ulicy, tyle razy dobiegały stamtąd przeraźliwe krzyki i jęki katowanych przez gestapo, zaaresztowanych gorliczan.

Pewnego zimowego dnia, za zgodą rodziców poszedłem przez nasze podwórze z niewielkim domkiem, aby wychodząc na ulicę skręcając w prawo szedłem zobaczyć skarpe, którą po zmroku, w ciepłe wieczory rozświetlały roje świetlików. Bajeczny widok.

Nastała zima, miasto nurzało się w białym puchu. Któregoś dnia, około godziny dziesiątej wychodzą na podwórze.

Minąłem domek, mijam ogródek pani Siokałowej i po otwarciu bramy wychodzę na ulicę, aby choć trochę poszaleć na śniegu. Ulicę, domy pokrywała świeża, biała warstwa śniegowego puchu. Nikogo nie ma na ulicy, ja lepię kolejną śnieżkę, gdy nagle przede mną wyrasta, postawny niemiecki żołnierz, wartownik osławionego Klozego. Podchodzi do mnie i nagle zaczyna na mnie niesamowicie wrzeszczeć, uderza mnie w twarz i odchodzi. Przestraszyłem się, bo nie wiedziałem, za co. Dostałem za to, że nie powiedziałem jemu guten Tag.

Zalany łzami wracam do domu, w drzwiach stoi moja mama i pyta mnie, co mi się stało? Z trudem, łkając opowiedziałem o tym, co mnie spotkało. Po drugiej stronie ulicy (Wróblewskiego) był ogród, własność pani Zofii Gumułkowej, a w nim stała wielka, nietypowa huśtawka, dziecięce marzenie o bujaniu w obłokach. Dzięki jej dobremu sercu mogliśmy mieć namiastkę wakacji. Bywaliśmy tam bardzo często i tak ciotka Zosia i z panią Zosią uznały, że nadszedł najwyższy czas, żeby nawiązać przyjacielskie stosunki. Dzięki temu, że obie znalazły wspólną więź, w naszym domu zawsze znalazły jakieś owoce i warzywa,

a babcia mogła zrobić trochę przetwory choćby takie, jak marmolada z brukwi, czy niewielkie ilości marynat. Babka Stefcia potrafiła dla nas wyczarować słodkie łąkocie, marcepany z ziemniaków puree, resztek cukru, olejku migdałowego i owsianego kakao, wyśmienite marcepanki, wiedziała jak się robi mleczne karmelki no i krówki. Przy braku wielu rzeczy, przy kartkach żywnościowych te zwykłe słodycze, stawały się rarytasem.

Ciotka Zosia znalazła w pani Gumułkowej idealnego partnera do rozmów, na przyjacielskie plotkowanie, dlatego też bardzo często była w kawiarence, gdzie było i ciastko, i kawka z mlekiem i gorlickie ploteczki. Droga do kawiarenki pani Zosi była tak łatwa i krótka, każde dziecko trafiłoby tam bez trudu, jednak ja miałem swój własny, upatrzony drogowskaz. Żeby tam dojść, marsz trzeba było zacząć od pierwszego z brzegu domu, przy dzisiejszej ulicy Piłsudskiego. Na ścianie tego budynku była wielka, przedwojenna reklama żarówek marki Osram, co jak na tamte czasy i na tak niewielkie miasto, była niemałą sensacją. Wracam jednak do 1942 roku. Wrzesień, zaczęła się szkoła, skończył się czas zabaw, a zaczął się czas nauki. Moja szkoła mieściła się w Ratuszu, na parterze, po prawej stronie hallu, tam była moja klasa. Ubikacje typu decha z dziurą, były po lewej stronie sieni, nieco w głębi. Tuż obok było wyjście prowadzące prosto na podwórzec, który tak wtedy jak i dzisiaj mieści się na dachu budynku, sąsiadującego z Ratuszem.

Patrząc na front tego budynku to zobaczymy, że z bruku wyrasta wysoka na około trzy metry przyziemna konstrukcja, ściana wyłożona kamieniem, prawdopodobnie piaskowcem. Po jej lewej stronie były bardzo liche drzwi, sklecone z tego, co było pod ręką.

Prowadziły do niewielkiego pomieszczenia przypominającego piwnicę, dzisiaj jest tam tylko pojedyncze okno. Brakuje mi historii mówiącej o tym, co tam było w czasie okupacji.

Właśnie w tym miejscu Niemcy urządzili areszt. Trzymali w nim, w wielkiej ciasnocie aresztantów. Po skończonych lekcjach, przed Ratuszem czekał na mnie mój dziadek, zamiast iść prosto do domu, siadaliśmy na jednej z rynkowych ławek i obserwowaliśmy, co się na tym Rynku dzieje. Ja, który mógłby zająć się książką, byłem w ciągłym ruchu, rozglądałem się i liczyłem ilu gorliczan w czasie naszego siedzenia na ławce szło na Zawodzie. Co robił mój dziadek? Właściwie to nic. Czekał na moment, kiedy to z głośników umieszczonych na wysokim słupie, niemiecki lektor wykrzyczy „Achtung, Achtung” i poda komunikaty z frontu. Chwila ciszy.

Po kilkudziesięciu sekundach czekania, słychać jak speaker bardzo smętnym głosem podaje krótkie komunikaty z linii frontu, a że mój dziadek to stary żołnierz, powstaniec wyćwiczony w bojach o niepodległość Polski, doskonale znając mentalność niemieckiego wojska, w mig rozeznawał treść niemieckich, wojennych informacji.

Im więcej było w nich mowy o sukcesach, tym więcej było porażek. Mnie interesowało zupełnie, co innego. Jak to jest możliwe, że do tak małego głośnika mógł wejść człowiek i jeszcze na dodatek mógł mówić? To mi nie dawało spać, koniecznie chciałem wiedzieć, jak to jest.

Był jednak taki dzień, a było to gdzieś w okolicach pierwszych tygodni jesieni 1942 roku, kiedy na prośbę babki, która zajmowała się przyrządzaniem jadła, zeszliśmy z Rynku i powoli zmieraliśmy na Zawodzie, do sklepu z artykułami gospodarstwa domowego. Potrzebny był ostry, duży nóż. Mijamy ledwo człapiącego starego Żyda, naprzeciw nam idzie hitlerowiec ubrany w czarny skórzany płaszcz, przepasany szerokim paskiem, z pistoletem w czarnej kaburze. Przechodzi obok nas, nie słychać nic, poza jego krokami, nagle dobiega do nas odgłos strzału, na chodniku we krwi leży starowina Żyd. Byłem przerażony, ogarnął

mnie paniczny strach, a mój mały rozum nie mógł pojąć, dlaczego tak się stało, za co.

Nasz dziadek był silnym ramieniem rodziny, miał ogromną rolę w naszym wychowaniu, potrafił być pomocny memu ojcu w trakcie przyjmowania pacjentów. Mój ojciec będąc lekarzem pracował w Kasie Chorych, w szpitalu nie mówiąc już o tym, że w domu, w którym mieszkaliśmy, miał gabinet lekarski z poczekalnią. Pomimo, że była wojna, że panował strach i niepewność, pacjentów tacie nie brakowało. Doskonale pamiętam wygląd tych pomieszczeń, bo kiedy miałem siedem lat, ojciec zoperował mi trzeci migdał. Pooperacyjny humor, psuła mi kolorystyka ścian gabinetu i poczekalni. Ściany jednego i drugiego pokoju były w kolorze jasnej zieleni, przedziałała je ścianka działowa, z dużymi, przeszklonymi drzwiami.

Po jakimś czasie, nie pomnę, którego to było dnia, ale było to w czasie późnej jesieni, na dworze panował zmrok. Do poczekalni, w której czekałem na swego tatę, wszedł wysoki mężczyzna w ciemnej zimowej kurtce i z ciemną teczką w ręce. Po wyjściu z gabinetu ostatniego pacjenta, podszedł do drzwi, zapukał, po czym szybko wszedł do środka.

Jak się tylko znalazł w gabinecie, natychmiast pognałem na górę do mieszkania, żeby opowiedzieć mamie, co widziałem, że przeszedł do taty pan w kurtce, z teczką. Po kilkudziesięciu minutach do mieszkania wraca z gabinetu ojciec i opowiada mamie o człowieku, który go odwiedził. Po jakimś czasie okazało się, że gość z gabinetu był kimś z podziemia. Kto go do ojca skierował, skąd wiedział, do której godziny ojciec przyjmuje, tego już się nigdy nie dowiedziałem, ale jedno jest pewne, że musiał to być jednak ktoś, kto sporo wiedział i o ojcu, i o gabinecie.

Po tej niespodziewanej wizycie, przez dość długi czas ojciec na ten temat nie rzekł słowem, kim był ten tajemniczy człowiek i po co przyszedł. O tym, kto to był i kim był niespodziewany gość, dowiedzieliśmy się

dopiero wtedy, kiedy przeprowadziliśmy się z Gorlic, do Krościenka nad Dunajcem. Okazało się, że ten tajemniczy mężczyzna, był zakonspirowanym radiotelegrafistą z podziemia. W jego tajemniczej walizeczce była zamontowana radiostacja nadawcza, dzięki której mógł przysyłać do Londynu komunikaty mówiące o sytuacji na terenie gorlickiego. Przypuszczam, że mógł dowiedzieć się o moim ojcu i o nas od pani Hermachowej, która była czynną uczestniczką podziemia.

Wszyscy w mieście przeczuwali, że coś się święci, że coś wisi w powietrzu, pytanie tylko co? Gorlice i okolice obowiązywał rozkaz, że z chwilą zapadnięcia zmroku, wszystkie okna mają być zaciemnione. W każdym domu, nad każdym oknem, były zamontowane czarne rolety, a każdy uciekający nawet małą szparą strumień światła, był niebezpieczną wskazówką dla lotnictwa.

Jest rok 1943. Okolice sierpnia, wszyscy już jesteśmy po kolacji, cała nasza trójka powoli układała się w spania, wygaszone światło, gdy do pokoju, po omacku wchodzi dziadek, prosi mego ojca, aby odstłonił rolety. Chodziło o to, aby w całkowitej ciemności można było swobodnie podejść do okna i otworzyć je. Na niebie dzieją się ciekawe rzeczy. Obaj ojciec i dziadek stanęli przy oknie, odstłonili czarną roletę, na zewnątrz ledwo majaczy zarys podwórza. Moja ciekawość jest silniejsza niż sen, musiałem patrzeć w niebo, chociaż nie wiedziałem, o co tu chodzi. Koniecznie muszę to zobaczyć. Z poziomu podłogi nic nie widzę, może poza gwiazdami.

Zabiło litościwe serce ojca i ku mej uciesze podnosi mnie, stawia na parapecie i razem patrzemy w czarną czeluść nieba. W pewnym momencie dziadek mówi, że na niebie widać tzw. świecę, czyli specjalną racę zrzucaną na małym spadochronie.

Ani ojciec, ani dziadek nie odchodzą od okna, cały czas gapią się w niebo, gdy nagle na wysokości kościoła, z nieba powoli opada druga świeca. Między pierwszą, a drugą

minęło 15 minut. Po upływie kolejnego kwadransa widać jak tym samym miejscu, powoli ku ziemi opada trzecia raca. Trzy świece, były zapowiedzią nalotu. Te z pozoru łatwe zadania bojowe, wykonywali Rosjanie na wyjątkowych maszynach. Były to tzw. „kukuruźniki”, samoloty typu dwupłat i co ciekawe, można było nimi latać, na wyłączonych silnikach, co w tego typu akcji, było najlepszym rozwiązaniem. Lecieli nad niemieckimi głowami bezszelestnie.

Stoję cicho na parapecie, choć nogi mnie już bolą, nic nie mówię, ubezpieczony jestem przez mego ojca i wiem, że nic mi się nie stanie. Upłynęło około pół godziny, gdy nagle, gdzieś z bardzo wysoka dobiega do nas niskie, równobrzmiące buczenie. Po chwili dziadek i ojciec byli już pewni, że to leci eskadra angielskich bombowców.

Nagle jak na rozkaz, niebo rozświetlają smugi reflektorów, smuga goni smugę, powoli oddala się warkot samolotów. Od tej chwili minęło może pięć minut, kiedy padł „rozkaz” Jędrak do łóżka, gdy nagle daje się słyszeć dobiegający z daleka potworny, głuchy huk. W jednej chwili zgasły wszystkie reflektory. Na drugi dzień, po Gorlicach gruchnęła wieść, że na stanowiska niemieckiej artylerii spadła jednotonowa bomba i że nikt i nic nie ocalało, a jedną z ofiar, miał być ważny niemiecki pułkownik. To był taki, jak to mówią myśliwi, strzał na komorę.

Gdzie to było, tego nie wiem, ale wiem, jaki był kierunek nalotu? Jeżeli przyjmiemy dzisiejszą ulicę Wróblewskiego, jako punkt odniesienia, to kierunek nalotu miał około 130 stopni.

Na drugi dzień w całym mieście nie mówiono o niczym innym, jak tylko o tym, co stało się kilka kilometrów od Gorlic. Mówiono, że zginęła tam cała niemiecka załoga jednostki artyleryjskiej, zniszczono działa, reflektory, że w odległości mniej więcej kilometra od niemieckich stanowisk mimo nocy, zginął młody pastuch, zabite zostały wszystkie

krowy. Nawet duża szopa nie wytrzymała silnego podmuchu, nawet ślad po niej nie został.

Od tego radosnego dla wszystkich gorliczan wydarzenia, nie minęło kilka dni, kiedy od strony Rynku na ulicę Główną, przy dźwiękach marsza żałobnego, wtoczył się wojskowy, kondukt pogrzebowy.

Na jego czele idzie wyprężony oficer, parę kroków za nim jedzie armatnia laweta zaprzęzona w cztery piękne siwki, a na niej trumna przykryta hitlerowską flagą. Na wysokości głowy nieboszczyka, na wieku trumny, leżała wyjściowa czapka nieboszczyka. Po obu stronach lawety szli oficerowie, zaś za trumną rodzina i młodzież z Hitlerjugend w galowych strojach. Dziewczęta miały na sobie białe bluzki i ciemno granatowe spódnice, zaś młodzieńcy szli paradną ławą ubrani w charakterystyczne brunatne koszule i w czarne krawaty. Na lewym przedramieniu każdy miał czerwoną opaskę z czarną swastyką na białym tle. Parę kroków za nimi, szły osoby ubrane po cywilnemu.

Krok za krokiem w rytm marsza kondukt zmierzał w kierunku Góry Cmentarnej. Była tego dnia piękna, słoneczna pogoda i nic nie zapowiadało pogodowej katastrofy. Po upływie mniej więcej godziny, kiedy uczestnicy pogrzebu byli już blisko bram cmentarza, nagle nad Gorlicami zebrały się ciemne, ciężkie chmury. Raz tu, raz tam niebo przecinały błyskawice, zrywa się silny wiatr. W jednej chwili wszystko zmieniło się w potężną nawałnicę, lało niemiłosiernie, sznury wody nie dawały wytchnienia.

Na drugi dzień, całe miasto było jakoś radośniejsze, bardziej stonowane, bo okazanie pełni szczęścia mogło skończyć się tragicznie. Dla niemieckiej władzy atak angielskich bombowców, był potężnym ciosem o potężnym rażeniu. Rozbito stanowiska artyleryjskie, zabito dowódcę jednostki, co dla Niemców było dowodem, że za ich plecami, jest już ktoś jeszcze.

Zanim nastąpił wspomniany nalot brytyjskich bombowców, jakieś dwa, a może trzy tygodnie wcześniej, poszedłem z moim dziadkiem na spacer. Mieliśmy tego dnia jeden cel. Park. Do parku mieliśmy może sto, a może dwieście metrów, kiedy nad naszymi głowami na niedużej wysokości przelatywały niemieckie samoloty transportowe, moją dziecięcą uwagę zaciekało coś, czego jeszcze nie widziałem. Każdy z tych samolotów, ciągnął na hoku szybowiec transportowy, wszystkie były pomalowane w tzw. panterkę. Kierunek lotu południe.

W domu, w którym mieszkaliśmy, a mówię cały czas o numerze 14 na Główniej, miał też swoją historię, która skończyła się śmiercią. W jednym z mieszkań, jeżeli się nie mylę w mieszkaniu na przeciwko państwa Barutów zamieszkał niemiecki oficer i zarazem lekarz. Był Austriakiem urodzonym we Wiedniu, żonaty miał z tego, co pamiętam dwoje dzieci i co ważne, był nad wyraz spokojnym i kulturalnym człowiekiem, nie znosił Hitlera. Nazywał się Sidov. Często spotykali się z moim ojcem na klatce schodowej, rozmawiali na tematy lekarskie, czasami w bardzo ostrożny sposób, coś przebąknął na temat tego, co się działo na froncie, czasami wystarczyło tylko dzień dobry. Kiedy po wojnie, po powrocie do Poznania zapytałem ojca o dr Sidova powiedział mi jedno, bardzo ważne zdanie. Ten człowiek, to niemiecki oficer, który mówił o sobie, że jest lekarzem, że nie jest kimś, kto będzie strzelał ludzi. Pewnego dnia, późnego wieczora na klatce schodowej było słycać strzał, zapewne ktoś, do kogoś strzelał. Okazało się, że to dr Sidov jest ranny.

Krótko po tym wypadku, do domu przyszli niemieccy wojskowi i zapytali jak to się stało. Z relacji mojego ojca wynikało, że to nie był żaden wypadek. Doktor nie chcąc iść na front wschodni, sam strzelił w swoją łydkę. Kilka dni później przyszło po niego kilku niemieckich wojskowych i zabrali ze sobą rannego doktora. Widziałem, jak prowadzony przez żandarmów

patrzył w kierunku naszego balkonu, wydawało mi się, że patrzy po raz ostatni na mego ojca.

Po niecałym tygodniu dotarła do miasta wiadomość, że po zaarrestowaniu, odbył się nad nim sąd polowy, który skazał dr Sidowa za dezercję, na karę śmierci przez rozstrzelanie. Egzekucję wykonano natychmiast, zaraz po ogłoszeniu wyroku. Doktor nie chciał brać udziału w wojnie, nie widział w niej żadnego sensu.

W tym domu pomimo spokoju, przeżywaliśmy trudne chwile. Kiedy było już wiadomo, że pod Gorlice zbliża się front, wszyscy lokatorzy życie przenieśli do piwnic, które przez kilkanaście dni spełniały rolę schronów. O zaopatrzenie wydawane na kartki było o tyle łatwo, ponieważ w tym domu mieliśmy sklep z żywnością. Jego pomieszczenie znajdowało się po lewej stronie budynku, co było po prawej, tego to nie pamiętam, chyba drugi sklep. Każdy z Polaków miał przydzielone karty żywnościowe, dzieci inne, dorośli inne. Z towarów, które pamiętam to sacharyna, marmolada z brukwi lub dyni, kawa księdza Kneippa, na ladzie zawsze dyżurowała duża, pięciolitrowa puszka z moskalikami, gliniasty chleb.

Nie wiem jak to jest, ale smak tych moskalików siedzi mi cały czas na języku i co zabrzmie nieco dziwnie, dzisiejszy moskalik to już dla mnie nie to, pomimo tego, że tamte miały może sześć centymetrów długości. Dzisiaj nikt nie jest w stanie uwierzyć w to, że tak niby pospolita rybna marynata, była na przydział, że trzeba było mieć kartę żywieniową, by było można cokolwiek kupić do jedzenia. Dlaczego tak jest, oto trzeba zapytać tych, dzięki którym przestaje działać komunikacja międzypokoleniowa, powstaje ogromna luka w polskiej świadomości, historię ma się za nic, dlatego że na takie tematy, nikt w ogóle nie chce mówić.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy trzeba było i tacie i dziadkowi przygotować naszą piwnicę,

do roli schronu. Potrzebne były łóżka, więc we dwóch taskali je z mieszkania do „nowego lokum”. Aby jakoś przetrwać noc, trzeba było znieść pościel oraz najpotrzebniejsze rzeczy. Życ w piwnicznych warunkach w osiem osób, gdzie brat i siostra wymagali stałej opieki, nie było łatwe.

Nawet w nocy potrzebne były pieluchy, ktoś chciał pić, kto inny szukał ustronnego miejsca. Życie ułatwiała toaleta, która należała do sklepu, wszystko dało się wytrzymać, ale z jednym trudno było walczyć. Szczury i jeszcze raz szczury i myszy. Jadła miały dość, worki z mąką z kaszą były atakowane przez całą noc, a najgorsze było to, że w walce o jadalno wydobywał się z ich pysków, koszmarny pisk.

Jednej nocy, kiedy już wszyscy spali, budzi nas niesamowity wrzask cioci Zosi, przy tym trzęsie się jak osika jednocześnie wskazując ręką okno, a tam....? A tam szczur gigantycznych rozmiarów, siedzi między wewnętrznym, a zewnętrznym skrzydłem okna. Mój ojciec robi wszystko, żeby ją uspokoić, a ona nic, tylko cała dygocze, zaś szczurze paskudztwo siedzi sobie za szybą i łapie tymi małymi oczkami na ciotkę.

Skończyła się makabryczna noc, z samego rana poszliśmy do mieszkania tylko po to, żeby coś zjeść i żeby się umyć. Po śniadaniu zabierałem tornister i maszerowałem do szkoły w towarzystwie niezastąpionego dziadka Antoniego, albo cioci Zosi. Cały czas myślałem, jakby tu się wyrwać spod czulej opieki i pomaszerować do bożnicy, by wejść do dużej Sali i patrzeć na malunki na ścianach. Mój mały mózg, był tak zauroczony tym, co oglądałem, że wizerunek złotych lwów w towarzystwie ultramaryny siedzi we mnie jak znak tego, że w tym miejscu skończyło się, coś bardzo ważnego. Jednak, kiedy już nakarmiłem się widokiem błyszczących złotem lwów, będąc pod wrażeniem pustego wnętrza szedłem do Gwidona Miklaszewskiego, który mieszkał wraz z rodzicami w domu z ogrodem,

niedaleko bożnicy, byłem wtedy w zupełnie innym świecie. Obaj byliśmy w jednej klasie. Muszę powiedzieć, że chociaż miałem tylko kilka lat, byłem po swojemu całkiem zaradnym dzieckiem.

Gdzie bym nie był, czy to w szkole, czy na rynku zawsze, kiedy wracałem do domu zmieniałem azymut i gnałem prosto do apteki pana Józefa Batyńskiego, gdzie czekała na mnie fascynująca praca pigularza. Jak prawie w każdej aptece, na każdej ladzie właściciel tej wyjątkowej apteki montował tzw. pigularkę, czyli maszynkę do robienia z proszku, tabletek. Kręciłem korbą ile się dało, a ze specjalnej gardzieli maszynki wylatywały jedna za drugą, pigułka za pigułka. Jeszcze więcej przyjemności miałem, kiedy mój tato zabierał mnie, do domu państwa Batyńskich. Mieli jakieś swoje, swoje własne pięć minut, razem przygotowywali leki, które memu ojcu były niezbędne w praktyce lekarskiej, trochę popalili papierosa, trochę pogadali, czasami był koniaczek. Kiedy będąc u nich w domu i wszedłem po raz pierwszy do dużego pokoju, urządzonego z niesamowitym smakiem, o ścianach w kolorze ciepłej i bardzo szykownej zieleni, po przywitaniu się z gospodarzami stanąłem jak wryty. Zostałem powitany przez młodsze pokolenie Batyńskich, rodzeństwo Gigę (niektórzy mówili na nią Wiga) i Zdziska Batyńskich.

Mówię o tym pokoju, salonie z wielkim rozrzewnieniem, ponieważ styl, w jakim był urządzone, stale odbija się we mnie jakimś, dziwnym ciepłym echem. Widzę tę pierwszą chwilę, to pierwsze wrażenie, jakie wywarł na mnie ten salon, gdy wchodząc do niego niemieje, stykam się z pięknymi, stojącymi gablotami, w których za szybami stały cudowne zabawki z lat dziecinnych młodego Zdziska, które z przedmiotu zabaw, stały się elementem wnętrza. Szokowały mnie swoim nieskazitelnym stanem, wszystko jak z fabryki. W tym miejscu muszę przywołać krótką notatkę o dr. Zdzisławie Batyńskim lekarzu -

pulmonologu, który od lat pięćdziesiątych, aż do mieszkał w Koszalinie. Pracował w szpitalu przeciwgruźliczym na Zdunowie, gdzie był jednym z pierwszych ordynatorów oddziałów zachowawczych. Był jednym z pionierów nowoczesnej chemioterapii gruźlicy.

Mówię o tym, ponieważ dla historii Gorlic, stał się jej ważną i cenną postacią, jest częścią osiągnięć tego miasta, dlatego uważam, że gorliczanie mogą być z tego naprawdę dumni. Czas, aby wrócić na Rynek, bo tam siedzi mój dziadek i czeka na mnie, aż wyjdę ze szkoły. Czekałem na tę chwilę, ponieważ miałem obiecanę, że jak będzie ładny dzień i kiedy w katedrze nie będzie praktycznie ludzi, zwiedzimy ją patrząc ołtarze i na obrazy. Radość moja była tym większa, że mieszkając w jednym domu z państwem Barutami, pan Józef często zabierał mnie do siebie i pokazywał mi przeróżne rysunki, co na mnie szczeniaka wywierało tak wielkie wrażenie, że tylko miałem jedno w głowie rysować, rysować. To jeszcze nic. Najciekawsza rzecz stała na szafie.

Otóż na tej szafie stał gipsowy model gorlickiego kościoła niby niewiele, ale ile było w nim siły, że kiedy po powrocie do Poznania i po skończonej szkole powszechnej, poszedłem do liceum budowlanego. Po tym, już po maturze rozpocząłem studia na wydziale architektury wnętrz. Każde spotkanie z panem Józefem, było dla mnie zawsze bardzo emocjonującym przeżyciem, pomimo tego, że z wielu widzianych rzeczy, nie pojmowałem, a jednak daleko później zaowocowało właściwymi studiami. Zdawałoby się, że to niby było tak niewiele, jednak później miały znaczyć bardzo wiele.

Kiedy, któregoś dnia weszliśmy z dziadkiem do kościoła, wydawało mi się, że jestem w wnętrzu o wiele większym, niż było ono w rzeczywistości. Dziwiły mnie potężne filary, o charakterystycznym dla nich podziale, ot zwyczajna duża rzecz, dopiero obrazy, które na nich wisały rozbudzały moją wyobraźnię. I

tak moją uwagę przykuwał tylko jeden. Na pierwszym filarze od wejścia, po prawej między główną, a prawą nawą, wisiał obraz przedstawiający św. Franciszka z Asyżu z ptakami. To one, a nie postać świętego najbardziej mnie frapowały. Kombinowałem nad tym, jak to jest możliwe, żeby namalować coś, co lata. Mam jeszcze coś, co dziadka wprowadziło w osłupienie, chciałem być ministrantem, żeby móc dzwonić i żeby mieć tyle dzwonek, w jednej ręce.

Wiele czasu spędziliśmy z dziadkami, tato pracował w szpitalu, w kasie chorych, w swoim gabinecie, więc ktoś musiał się nami z konieczności zająć. Moja mama zajmowała się maleńką siostrą, a my z bratem zafundowaliśmy na całego dziadkami i ciotką. Ale kiedy nadchodziła sobota, a po niej niedziela, do akcji wkraczał nasz tata. Kochał strzelanie sportowe, wędkarstwo i myślistwo, w Gorlicach pozostały mu tylko ryby. Jakaż radość wstępowała we mnie, kiedy ojciec zabierał mnie nad Ropę na ryby, kiedy szykował dla mnie małą leszczynową wędkę, z którą pod opieką taty zaczynałem polowanie na pływającą zdobycz.

Pamiętam z tamtych czasów jeszcze jeden, szczególny wypadek. Był początek sierpnia, było bardzo ciepło, kiedy razem z tatą i dziadkiem do towarzystwa wybraliśmy się nad Ropę. Ja z dziadkiem na karku, stróżem porządku łowiłem na muchy uklejki, zaś tato uzbrojony w spinning własnej roboty i czeresnie, polował na brzany. Miał coś jeszcze, coś w rodzaju zgliwiałego twarogu. Tak uzbrojony i nastrojony ruszał nałów, po rybę.

Ropa tamtych lat była rzeką pełną pstrąga, lipienia, szczupaka.

Nie wiem jak jest dzisiaj, ale w tamtych wojennych czasach, w nurcie rzeki pomiędzy dawnym drewnianym mostem, który prowadził prosto do parku, a nieistniejącą już dzisiaj kładką linową, młodzi chłopcy łapali pod kamieniami, rękami pstrągi. Zawsze mieli tego kilka sztuk.

Dzisiaj może to wydawać się śmieszne, ale wtedy w czasie wojny, ryba była dużym urozmaicheniem jadłospisu.

Uwielbiałem spacerować, kiedy cała nasza ósemka łącznie z siostrą w wózku szła do parku. Jakaż była moja radość, kiedy utyłtany w ziemi, oblepiony zeschniętymi liśćmi, zdobywałem Górę Parkową, co nie znaczy, że zdobyłem jej szczyt. Dzisiaj może to wydawać się i po części nie zrozumiałe, że spacerować do parku były jednocześnie wypoczynkiem i miejscem spotkań dla ludzi takich jak my, dla wysiedleńców, którzy z racji losu znaleźli się w Gorlicach.

Żeby znaleźć się w parku, trzeba było pokonać drewniany most, który spełniał nie tylko rolę łącznika, lecz był także doskonałym miejscem obserwacyjnym tego wszystkiego, co żyje w rzece. Takiej ilości pstrągów idących w górę Ropy, już nigdy potem nie widziałem, zresztą jej rybostan był bardzo bogaty, woda czysta jak kryształ, rzeka z naturalnym korytem, to było całe naturalne bogactwo tego miasta.

Kto nie chciał stać na moście, ten przechodził na stronę parku, potem skręcał w lewo, szedł może około 100 metrów i już był przy wiszącej kładce. Jedną z jej atrakcji, była możliwość lekkiego rozkołysania kładki pod warunkiem, że będą to robili kilkunastoletni, rozsądni chłopcy. To była frajda może niewielka, ale na maluchach robiła ogromne wrażenie.

To miejsce, a właściwie Sękówka ze swoim nurtem, pozostawiła we mnie niezatarty ślad, a rzecz miała się tak. Jednego dnia, kiedy ukrop łał się z nieba, poszliśmy razem z dziadkiem, do parku. Mama pozostała z siostrą w domu, bratem zajęła się ciotka, babka, jak co dnia gotowała obiad, zaś ojciec o tej porze, był zawsze w Kasie Chorych, wśród pacjentów. Schodzimy z mostu, potem skręcamy w prawo i idziemy w stronę Sękówki. Po kilku minutach jesteśmy na miejscu. Zmieniam ubranie na kąpielówkę i wchodzę do wody. W kilka chwil potem, nieświadomy niczego wpadam w dół, brakuje mi dna, ogarnie mnie strach. Wtedy

dziadek pokazuje mi, co mam robić, a ja wtedy zaczynam machać rękami i jak pies trzymam się na powierzchni. Kiedy wróciliśmy do domu i dziadek opowiedział całą przygodę myślałem wtedy, że będzie sroga reprimenda, ale nie, nic takiego się nie stało, a ja zawarłem przyjazny związek z wodą na zawsze.

Kiedy miałem wtedy siedem lat, była wtedy jesień, dzień spaceru i tak, jak zwykle z moim ukochanym dziadkiem pokonujemy naszą, wyćwiczoną trasę po to, by znowu znaleźć się w parku. Najpierw kierujemy się do pawilonu. Mamy bardzo ważne, osobiste potrzeby. Po paru minutach idziemy w stronę Sękówki, w to samo miejsce, gdzie grunt uciekł mi z pod nóg. Stajemy na brzegu, patrzę na drugą stronę rzeki, na polanę, a na niej jeden obok drugiego stoją w rzędzie Messerschmitty, niemieckie myśliwce, przy każdym z nich stoi żandarm. Stały jeden obok drugiego, były tak blisko, że tamten obraz mam jeszcze w sobie do dzisiaj. Spacer do parku niosły w sobie wiele niespodzianek, zawsze coś się działo.

Tak samo było chyba latem 1943 roku, kiedy idąc z dziadkiem i moim bratem, który w wieku sześciu lat zaczął chodzić, szliśmy do parku naszą wytyczoną trasą i kiedy byliśmy już niedaleko naszego celu, nagle nad naszymi głowami jeden za drugim przeleciały bardzo duże niemieckie transportowce, ciągnąc na długim holu ogromne szybowce, malowane w dwa odcienie zieleni, czyli w tzw. panterkę. Leciąco ich kilka sztuk, jeden za drugim. Co było w środku? Najbardziej prawdopodobne jest, że byli w nich żołnierze i uzbrojenie. Niski pułap lotu wskazywałby na to, że zrzut mógł mieć zaplanowane miejsce niedaleko Gorlic, a po ilości lecących jednostek była to zdaniem tak ojca jak i dziadka bardzo silna jednostka, jakby to dzisiaj określono powietrzno-desantowa. Z tego, co pamiętam, to był przelot wojskowych samolotów transportowych i holowane przez nie ogromne szybowce. Miały charakterystyczne podwójne usterzenie, a poza tym lot odbywał się na tak

niskim pułapie, że można było bez trudu rozpoznać każde ich oznakowanie.

Ponieważ byliśmy niedaleko dzisiejszej ulicy Krasieńskiego dziadek zdecydował, że pójdziemy tą trasą na spacer, zobaczymy jak tam jest. Przeszliśmy kilkadziesiąt metrów, jesteście tuż przy dużej łące, na której stało kilka niemieckich czołgów. Przy każdym z nich stał niemiecki żołnierz z dużą blachą na piersiach, a przy nim siedział tresowany wilczur. Mego brata dziadek musiał prowadzić z pewnych względów za rękę, ja na pełnym luzie, gdy nagle Jacek wyrwa się dziadkowi i pędzi kuśtykając do pierwszego z brzegu psa.

Nagle, brat szybkim ruchem chwycił psa za jęzor i z największym spokojem stoi tak przez kilka chwil. Na ten widok żandarm z dębieje wrażenia. Nie mógł przypuszczać, że tak cenny wilczur dał się podejść i na dodatek dał się jeszcze złapać za jęzor. Po tym całym zdarzeniu dziadek był pewny tego, że nie ujdzie nam to na sucho, a że wdała się piękna Niemczyną wdał się z Niemcem w krótką rozmowę. Ten puszcza nas wolno. Chwile później, jeszcze nie doszliśmy do ochronki, gdy nagle usłyszeliśmy pojedynczy strzał. Pies padł. Dlaczego zastrzelił psa? Stał się już bezwartościowym balastem, dał się podejść i to kilkuletniemu dzieciakowi. Kiedyś zastanawiałem się, czy ta chęć poznania przez mego brata zwierzęcia z bliska, nie uratowała owego wartownika, który za złą tresurę i narażenia niemieckiego żołnierza na szwank, przed polowym sądem.

Po przeprowadzce ze Stróżowskiej, do nowego mieszkania na Główniej 14, w krótkim czasie ojciec otwiera prywatną praktykę. Jako pomoc medyczną zatrudnia prześliczną pannę Zosię Zawadzką, która tak zawładnęła moim umysłem, że zacząłem być o nią zazdrosny, potrafiłem w „trudnych” chwilach spuścić nos na kwintę i milczeć. Panna Zosia miała wtedy około dwudziestu lat i zabójczo piękne, duże oczy.

W domu Zawadzkich grano często w brydża. Przy stoliku zasiadała pani Maria Zawadzka, dr Stojałowski, mój ojciec i chyba dr Karp, grała także Zosia. Stosunki między paniami Zawadzkimi, a resztą towarzystwa były bardzo przyjazne, potrafili wzajemnie się uzupełniać. Nareszcie wiosna, wybuchła ciepłem, zabarwiła świat kwiatami i zielenią. Co jakiś czas, niekiedy w niedzielę, wybieraliśmy się fiakrem do Siar. Wyjazdy były dla naszych rodziców, swego rodzaju antidotum, które choć na chwilę pozwalało im zapomnieć o Poznaniu, o obozie, o transporcie.

Rankiem następnego dnia trzeba iść do szkoły. Towarzyszy mi ciotka Zosia, po drodze mija nas Jaś „kapusta”, w ręce ma wiaderko z kiszoną kapustą, a że był potwornie brudny i zawszony ludzie mówili, że zamiast kminku w kapuście były wszy. Był częścią gorlickiego pejzażu.

Nie wiem, czy jest jeszcze ktoś wśród gorliczan, kto pamięta chłopaka z naręczem gazety „Gońca Krakowskiego”, szmatławca wydawanego przez niemiecką administrację. Przemierzając ulice wrzeszczał na całe gardło „Goniec krakowski, goniec”, ale bez powodzenia. Nikt tej szmaty nie brał to do ręki chyba, że czytali ją volksdeutsche.

Nie zawsze wszyscy gorliczanie mieli marsowe miny, nigdy jednak nie było tak, że nikt się nie śmiał. Każdy chłop w dystrykcie krakowskim musiał oddać Niemcom 35% swojej produkcji. A, że chłop spod Gorlic głupi nie był, to wymyślił coś, co Niemcy chętnie brali, a czego on sam, do ust nie brał. Sprawa oparła się o bimber. Skoro okupant tak chętnie to pije, postanowili zmodyfikować recepturę i zamiast drożdży, do zaczynu dodawali ludzkie odchody. Co ciekawe, że nikt nikogo nie wydał, a gdyby tak się stało, to wielu ludzi zostałoby skazanych na śmierć.

W tym całym wojennym zamieszaniu, zdarzały się czasami dziwne niespodzianki. W końcu lata 1943 roku idę z dziadkiem do sklepu pana Adamczewskiego, po jakiś żelazny drobiazg.

Wychodząc z bramy zobaczyliśmy, że przed domem stoi grupa niemieckich żołnierzy. Rozmawiają ze sobą dziwną polszczyzną. Zaczepiają nas i o coś pytają dziadka. Trwa to kilka minut, widać było, że na coś czekają, po chwili żegnają się z nami i odchodzą, idziemy do sklepu.

Po powrocie do domu, dziadek opowiedział, co nas spotkało. Jeden z tych żołnierzy mówił, że wszyscy są ze Śląska, a to wyjaśniło, dlaczego mówili oni po polsku, raczej po śląsku. Zdawałoby się, że w takich okolicznościach wszystko traci sens, ale kiedy spotykasz przyjazną duszę, to w tobie następują przewartościowania. Podobnie było u nas.

Którego dnia, gdzieś przy końcu lata 42 roku, do gabinetu mego ojca przyszedł pacjent, o charakterystycznym śpiewnym i miękkim akcencie, co by wskazywało, że gorlickim „góralem” to on raczej nie był. Nazywał się Jan Ćwiklik, mieszkał parę kilometrów za miastem, w Łużnej. Relacje między moim ojcem, a nim można określić, jako bardzo zażyłe. Największą przyjemnością była już sama zapowiedź wycieczki do państwa Ćwiklików, zaś myśl o tym, że tam pojedziemy gorlicką dorożką, była czymś wyjątkowym, czymś ekscytującym. Zdarzało się i tak, że na przykład w zimie zajeżdżały pod nas sanie zaprzężone w kare konie. Na koźle siedział dostojnie sam pan Jan. Moja mama mówiła o nim, że był bardzo przystojny, że to był gospodarz z klasą.

Kiedy wchodziło się do ich domu wyczuwało się, że w tych wnętrzach jest jakaś, bardzo przyjazna atmosfera, wyczuwało się ciepłą swojskość. Jako architekt wnętrz określił bym wystrój tego domu, jako wyjątkowy, z zawartością tego wszystkiego, co dawali temu domowi, jego gospodarze. Duszę.

Jaka siła była w tych wnętrzach, że jeszcze po przeszło siedemdziesięciu latach, stale mam je ciągle przed oczami. Ten dom po prostu pachniał lasem, z każdego kąta płynęła jakaś siła zawarta w prostocie i pięknie tych wnętrz.

Mam wrażenie, że cały czas jestem w tym domu i podziwiam oczami małego chłopca niesamowitą czystość, która jeszcze bardziej podkreślała piękno tych wnętrz. Cały czas stoję tam zdumiony tym, co widzę.

Wszystkie meble, łóżce, stół, krzesła, ława, podłoga wykonane były z oheblowanego litego drewna, lśniły wręcz niesamowitą czystością, nie miały na sobie ani wosku, ani kropli lakieru. Nie zapomnę widoku pięknego łóżka z ułożonymi piętrowo trzema poduszkami, a wszystko wyglądało tak, jakby nikt na nim nigdy nie leżał. Pamiętam, że na ścianie wisiały jeszcze obrazy, w tym z wizerunkiem świętych, co mogłoby świadczyć, że mogły to być niewielkie ikony.

Pani Ćwiklikowa, była wspaniałą gospodynią, dzięki której mogliśmy poznać smak wspaniałego masła, twarogu, mleka i śmietany. Ilekroć zajeżdżaliśmy do nich, to na powitanie w letni dzień częstowała nas tak znakomitym zsiadłym mlekiem takim, że jeszcze dzisiaj czuję jego smak.

Gorlice tamtych lat, pomimo wojny oferowały nam, wszystkim osiedleńcom coś, co rekompensowało strach i niepewność. U nas wyglądało to tak, że naszym edukatorem był z konieczności nas dziadek. Nigdy nie podnosił głosu, potrafił ze zwyczajnego spaceru do parku, zrobić przyrodniczy spektakl. Opowiadał o zwyczajach ptaków, szukaliśmy ich gniazd, łapaliśmy motyle z niewielkimi sukcesami, co dzisiaj może wydawać się anachronizmem, ale to skutkowało znaczącym zwiększeniem naszych zainteresowań.

Gorlice to nie tylko miejsce naszego pobytu w tym mieście, Gorlice to także szkoła życia. W szkole miałem precudowną nauczycielkę panią Urszulę Hermachową. To jej zawdzięczam to, że mogłem szerzej patrzeć na wszystko, co mnie otaczało. Korzystałem także z prywatnego nauczania, które sama prowadziła. Wszystkie spacery do parku, wędrowki brzegiem Ropy, wycieczki z całą rodziną do Glinika, bycie blisko Łukasiewicza

miały później ogromny wpływ na to, co robię do dzisiaj. Jestem związany ze sztuką. Wyjazdy koleją do Zagórzan, a szczególnie do Biecza były, jak to dzisiaj określiłbym nauką o starym budownictwie.

Czytając o naszym życiu w Gorlicach, Czytelnicy moich wspomnień mogą mieć wątpliwości, co do tego, czy są one pochodne wspomnień dorosłych, przekazanych nam w formie opowiadań, czy są one moje i tylko moje. Tak one są moje, ponieważ moja pamięć notuje to, co ze zdarzeń jest najważniejsze, a co mimo upływu lat pozostaje w niezmiennej świeżości. Powiem więcej, umysł dziecka jest bardzo chłonny, notuje wszystko, co ma swoją znaczącą wartość, ale kiedy dochodzi do tego talent plastyczny i zdolność obserwacji, zapamiętane wydarzenia są jak blizna, nigdy nie znikają tak jak, nigdy nie zginą we mnie Gorlice.

Andrzej Rafiński

Marzec 2018 roku.

Wszystkie produkowane tutaj zdjęcia, pochodzą książki

p. prof. Marii Rutowskiej „Lager Głowna”